

Bandycki Dziki Zachód na Wileńszczyźnie



Białozorowszczyzna to dziś niemal pusta wieś, aczkolwiek potomkowie jej mieszkańców wciąż wracają do swojej ojcowizny i niestety, muszą ją bronić przed przybyszami

Fot. Marian Paluszkievicz

Wleksykonie geograficznym współczesnej Litwy — na Litwie Wschodniej, czyli na Wileńszczyźnie, zamieszkałej w większości przez mniejszość polską — ostatnio często dochodzi do grabieżczego zajmo-

wania ziemi miejscowej ludności przez samozwańczych właścicieli, czy też tzw. farmerów.

Przed rokiem pisaliśmy już, jak w podwileńskich Bojarach złodzieje zagrabilili ziemię polskiej rodzinie Kułakowskich. Dopiero po kilku latach docho-

dzenia sprawiedliwości w sądach Kułakowskim udało się odzyskać ojcowiznę. Kolejnych kilka lat spędzą na odbudowie gruntów zniszczonych przez buldożery niedoszłych właścicieli, czyli pospolicie — złodziei.

str. 12-13 >>

Gazeta w moim życiu: „Jesteśmy zbiorowym czytelnikiem”

Pan Kazimierz dokładnie pamięta dzień 1 lipca 1953 roku, kiedy to jego ojciec Julian Siwicki wrócił do domu z radosną wiadomością: „Od dziś mamy swoją gazetę. W języku polskim! Ma być zawsze w na-

szym domu”. Słowa te młody Kazik doskonale zapamiętał i wiernie je strzeże przez całe życie.

A że tak świetnie się złożyło, że na swej drodze życiowej spotkał Grażynę, rodzina której te same tradycje — wiary,

mowy ojczystej, kultywowania wartości ludowych, szacunku do pracy — strzegła, więc to tak naturalnie w ich wspólnej rodzinie się złożyło, że nie trzeba było o tym nikomu przypominać.

str. 10-11 >>

POGODA



W najbliższych dniach upały i przelotne deszcze.

W sobotę miejscami opada i zagrzmi przy temperaturze 25-30 stopni. Na wybrzeżu chłodniej — 20-23 stopnie.

W NUMERZE

Apel polskich polityków
Str. 2

Noc Świętojańska na Litwie



Str. 3

Darius Liutikas: Tradycje i wartości kulturalno-duchowe pielgrzymek

Str. 8-9

Pomidory i ich walory
Str. 15

ISSN 1392-0405



Bandycki Dziki Zachód na Wileńszczyźnie

ze str. 1 »

Nikt oczywiście Kułakowskiemu nie zrekompensuje ich strat, bo w przypadku miejscowych Polaków litewski wymiar sprawiedliwości aż tak daleko sprawiedliwości tej nie szuka.

Dzisiaj przedstawiamy problem rodziny Błażewiczów, czyja ojcowizna od Bojar po drugiej stronie Wilna leży, czyli na Białozorowszczyźnie w gminie miednickiej. Przed wielu laty Leokadia Błażewicz odzyskała tu ponad 6 hektarów ziemi ojcowiskiej. Z dała, bo ponad 40 km, od Wilna, gleby nie najlepsze. Wokół lasy i wymierające wsie w tych przygranicznych z Białorusią okolicach. Mimo wszystko Błażewiczowie postanowili nie wyrzekać się ojcowizny, tym bardziej, że choć nieurodzajna gleba, ale co roku jakiś grosz z unijnych dotacji wpadnie.

— Co roku deklarowałam w agencji łąkę. Kosiliśmy trawę, a siano albo sąsiadom oddawaliśmy, bo trzodę trzymają, a jak im nie trzeba było, to zwyczajnie je wywoziliśmy — opowiada nam pani Leokadia.

Podobne plany miała również w tym roku, tym bardziej, że wiosna choć późna była, ale pogoda sprzyjała roślinności. Niestety, dzisiaj zamiast przed kwitnącą łąką stoimy z panią Leokadią przed kilkoma hektarami pustkowiec porastającego chwastami zamiast pachnącej koniczyny.

— Złali nam pole jakąś chemią. Żeby przypadkowo sami nie zauważylibyśmy, to nawet nie wiedzielibyśmy, kto i czym pola zatrzał — opowiada nam zrozpaczona właścicielka pola. Jednak to był tylko epizod z ciągu samowoli tzw. farmerów litewskich, którzy bez wiedzy gospodarzy zniszczyli im ziemię, bo — wydaje się — w ogóle nie



Anna Kadziewicz opowiada, że mieszkańcy okolicznych wsi sprzeciwili się poczynaniom na ich ziemi spółki rolniczej

liczyli na to, że ktoś przeciwstawi się ich samowoli.

— Gdy pewnego razu przyjechaliśmy na pole, to zobaczyliśmy składowane na nim drewno z pobliskiego lasu. Zaczęliśmy dochodzić, kto i dlaczego wywózkę z lasu złożył na naszym polu. Okazało się, że to niejaka spółka „Euromiśkas” — przynajmniej tak przedstawił się jeden z ich ludzi — wyrabiała pobliski las i składowała drewno na naszej łące. Zaczęliśmy szukać prawdy, więc obiecano nam, że drewno

zostanie wywiezione, a pozostałe śmiecie zostaną sprzątnięte — opowiada nam swoje perypetia pani Leokadia. Gdy po jakimś czasie przyjechała sprawdzić, czy spółka wywiązała się ze swoich obietnic, to zamiast sprzątniętej łąki zobaczyła zgliszcza. Drwale, owszem, bierwiona wywieźli, ale resztę śmieci (gałęzie, igliwia, liście) po prostu spalili na łące, a resztę wysypali na poboczu biegnącej wzdłuż pola drogi. Na dodatek wyrwali z ziemi kopiec znaczący granicę łąki. Teraz pani



Dzisiejsze oblicze Białozorowszczyzny — kiedyś gęsto zaludnionej wsi, dziś niemal wymarłej

Leokadia będzie musiała zwracać się do geodetów, aby na nowo oznaczyć granicę łąki.

— A to przecież kosztuje, bo dla specjalisty nie ma różnicy, czy przyjedzie wyznaczyć jeden punkt granicy, czy kilka, bo koszty są takie same — ubolewa pani Leokadia. Okazało się jednak, że był to dopiero początek kłopotów Błażewiczów z samowolą na ich ojcowiznie.

— **12 maja, w niedzielę** po południu wracaliśmy z kościoła i przejeżdżając obok pola zobaczyliśmy na nim traktory. Czymś opryskiwano łąkę. Traktorzyści powiedzieli, że wynajął ich właściciel — spółka „Makutiškių žemė”. Niebawem zjawił się dyrektor spółki. Przedstawił się nawet — Dmitrijus Jaruševičius. Gdy dowiedział się, że to my, a nie on, jesteśmy właścicielami łąki, zaczął namawiać, żebyśmy mu wydzierzawili albo sprzedali ziemię. Przekonywał, że i tak już żadnych dotacji z Unii nie otrzymamy, a on rzekomo miał uprawiać topinambur (słonecznik bulwiasty) na naszym polu — opowiada pani Leokadia.

Gospodarze nie zgodzili się na namowy nowo ujawnionego farmera, a zamiast podpisać z nim umowę, zadzwonili na policję. Zanim jednak funkcjonariusze dojechali na miejsce, szef spółki i wynajęte przez niego traktory zdążyli bez pośpiechu odjechać z miejsca zajścia.

— Policja przyjechała po kilku godzinach od zawiadomienia. Wysłuchała nas, ale żadnego protokołu nie spisała. Poradziła tylko, żebyśmy sprawę zgłosili na posterunek w Rudominie, albo do samorządu, który skieruje sprawę na policję — wyjaśnia właścicielka ziemi.

str. 13 »

ze str. 12 » **Bandycki Dziki Zachód na Wileńszczyźnie**

Pani Leokadia niezwłocznie złożyła podanie w samorządzie rejonu wileńskiego, a dla pewności później złożyła zawiadomienie na policji ws. samowoli drwali oraz dyrektora spółki rolniczej. Minął już ponad miesiąc, ale ze strony urzędów i policji — cisza. Przedstawiciele samorządu oraz starostwa obejrzeni na miejscu sytuację i teraz zajmują się wyjaśnieniem sprawy.

— Sprawa jest w toku — powiedziała nam Rita Maskajewa, specjalistka wydziału porządku publicznego administracji samorządu rejonu wileńskiego. Jak wyjaśniła, dyrektor spółki „Euromiškas” złożył pisemnie wyjaśnienie, że prace wykonywał zgodnie z prawem i podpisaną umową ze spółką „Makutiškių žemė” na oczyszczenie pól z lasu i krzewów, ale do zniszczenia pola pani Leokadii nie przyznał się. W następnym tygodniu wydział czeka na wyjaśnienia przedstawiciela spółki „Makutiškių žemė”.

Policja w tej sprawie też niewiele wskórała, szuka domniemych sprawców zniszczenia pola pani Leokadii.

My również poszukaliśmy i... znaleźliśmy! Domniemy sprawca w rozmowie z „Kurierem” wszystkiego się wypiera — żadnej właścicielki Błażewicz nie zna, o zajęciu w Białozorowszczyźnie pierwszy raz słyszy i twierdzi, że nie zna faktu samowolnego opryskiwania chemikaliami czyjejkolwiek ziemi. Dmitrijus Jaruševičius nie chciał nam też wyjaśnić, skąd więc pani Błażewicz ma jego numer telefonu i numery rejestracyjne traktorów oraz jego osobówki BMW, którą przyjechał w niedzielę, 12 maja, na pole pani Leokadii?

„Dziękuję, więcej żadnych komentarzy” i dalej „bip, bip, bip” — usłyszeliśmy w słuchawce telefonu.

Mamy nadzieję, że w kontaktach z wydziałem porządku publicznego oraz policją dyrektor spółki rolnej będzie bardziej rozmowny.

Jak udało się nam też wyjaśnić, gmina miednicka, gdzie działa ta spółka, już nie pierwszy raz ma do czynienia z działalnością farmerów z Makuciszek, wioski, której już nie ma, lecz pozostała ziemia po jej mieszkańcach.

W starostwie gminy opowiedzieli nam, że wcześniej spółka ta planowała wywozić na pola szlam z solectniczkiej oczyszczalni ścieków.

— Nie chcieliśmy, żeby to nam tu śmierdziało! — mówi Anna Kadziewicz ze wsi Białozorowszczyzna i opowiada, że mieszkańcy gminy podpisali się pod protestem przeciwko wywożeniu ściekowego gnoju na okoliczne pola.

W starostwie gminy dodają, że sprzeciw wystosowała Szkoła Pograniczników w Miednikach oraz dyrekcja Muzeum Zamku Trockiego, którego Zamek Miednicki jest filią. Na tym sprawa z wywozem szlamu skończyła się. Mieszkańcy okolicznych wsi mają nadzieję, że na zawsze.

W regionie leżącym przy szczelnie strzeżonej granicy z Białorusią, nieskażona ziemia jest bowiem ich największym bogactwem. Pracy tu nie ma żadnej. Najbliżej zatrudnienie można znaleźć 50 km stąd w Wilnie. Ale problem z dojazdem. Bo do niektórych wsi dojeżdża tylko szkolny autobus. W wakacje żaden. Dlatego ci, którzy tu jeszcze zostają, muszą samodzielnie zadbać prawie o wszystko.

— Hodujemy krowy, konie, prosiaki, kury, gęsie, króliki, słowem wszystko. Swoje też owoce i warzywa. Opał z pobliskiego lasu — mówi Anna Kadziewicz, która z mężem na rencie inwalidzkiej wychowują siedmioro dzieci. Starszy syn znalazł właśnie pracę. Też w Wilnie, w hurtowni jednej z litewskich sieci handlowych. Mówi, że najtrudniej pracować w nocną zmianę, ale taką chce, bo wtedy więcej zarobi. Starsza córka właśnie skończyła szkołę. Zastanawia się, co dalej. Na razie trudno o plany.



Bociany, jak i miejscowi ludzie, korzeniami wciąż tkwią na ziemi swoich przodków

— Trzeba iść dalej uczyć się — podpowiada matka.

Rodzina Kadziewiczów jest jedną z trzech rodzin, które tu pozostają. Reszta — kilkanaście domów — albo patrzą ślepiami pustych okien na okoliczne pola, albo służą potomkom ich właścicieli za dacie.

— **Przyjeżdżają tu** w weekendy, albo rzadziej — mówi pani Leokadia.

O prawie wymarłym życiu we wsi świadczy zarośnięty trzciną wiejski staw — dawniej kąpielisko miejscowej dziatwy i miejsce schadzki wiejskich wędkarzy.

Miejscowi mówią, że wieś czeka los miejscowego cmentarza, do którego droga już dawno porośła trawą po pas, bo jak zauważa pani Leokadia, ostatni pochówek na cmentarzu był przed dziesięcioma laty.

Mimo to, dla miejscowej ludności wciąż pozostaje największym bogactwem, dlatego każdemu zamachowi na to bogactwo przeciwstawia się najmocniej jak tylko potrafią. A

że potrafią, świadczy też historia. Gdy przed kilkunastu laty miejscowi walczyli o zwrot ojcowizny i rodzinnych lasów, powiedziano im, że lasu nie ma, bo wszystko należy do nadleśnictwa.

— Jednak pewnego dnia usłyszeliśmy, że ktoś wypiłowało nasze drzewa. Posłaliśmy całą wsią. Okazało się, że jakaś brygada z Kowna tnie drzewo na zlecenie „właściciela lasu” również stamtąd — opowiada pani Leokadia. Jak mówi, mieszkańcy dosłownie rzucili się na piły łańcuchowe i powstrzymali wycięcie lasu.

„Po tym proteście bardzo szybko również dla miejscowych znalazł się wolny las i został w pilnym trybie zwrócony byłym właścicielom” — mówi Leokadia Błażewicz. Nie zamierza też popuścić samowoli dokonanej na jej ziemi. Wciąż cierpliwie czeka na wynik pracy samorządowego wydziału porządku publicznego oraz policji. □

Stanisław Tarasiewicz
Fot. Marian Paluszkiewicz

FUNDACJA POMOŻE

Pomoc prawną Leokadii Błażewicz zaproponowała Europejska Fundacja Praw Człowieka.

Prawniczka Fundacji, Ewelina Baliko, powiedziała „Kurierowi”, że Fundacja niezwłocznie podejmie się interwencji w urzędach i policji ws. wyjaśnienia sytuacji, a po otrzymaniu stamtąd odpowiedzi będzie stale monitorowała ze strony prawnej przebieg dochodzenia.